№ 15. Warszawa, dnia 11 Kwietnia (30 Marca) 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

J. Nitowski.

Z chwil czarnych.

Tam gdzieś w błękitach stała,
Gdzieś wpośród słońc tysiąca,
W śnieżnej obsłonie biała,
Milcząca.

W koronie z gwiazd nad czołem,
Od ziemskiej wolna pleśni.
I była skarg aniołem
I pieśni.

A duchów jasne grono,
Owiane mgły złotemi,
Śpiewało pieśń natchnioną
O ziemi.

Jak Niobe ona stała
Tęsknotą dum przejęta;
Ku ziemi wzrok zwracała
Ta święta.

Stojącą w niebian chórze,
Poeta ujrzał młody,
Gdy z gwiazdą biegł w zawody
W lazurze.

I odtąd pieśń wesoła
Okryła się żałobą,
Gdy ujrzał skarg anioła
Przed sobą.

A gdy ów anioł złoty
Rozpłynął się w obłoku,
Został mu ból tęsknoty,
Łza w oku.

Na wspomnienie zjawiska,
Chmurnieje twarz mu blada
I z oczu łez wytryska
Kaskada.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Ada słuchając go teraz, wtrącała po słówku dowodzącem, że rozumie go; że nawet umiałaby w pewien sposób na towarzyszki wpływać, ale wnet ulatniało się wszystko z jej głowy, pozostawiając tylko znów wspomnienie „obrazów,” do przypatrzenia przesuwanych przed oczyma. Dla dobrego wszakże pozoru, poprosiła Hubicza o wskazanie paru książek poważniejszych do przeczytania, i rozstali się w dawnej zgodzie i w dawnych z jego strony złudzeniach.

Z towarzyszkami zaś porozmawiała trochę o szerokiej działalności, przez punkt honoru chcąc i w ich mniemaniu utrzymać się na stanowisku wyjątkowem (choć w gruncie każda według siebie zajmowała takie) — i zarządziła składkę na powodzian, też za namową Hubicza. Na przejrzenie książek przez niego przysłanych już nie miała czasu.

Przy wiosennej porze było mnóstwo sprawunków do załatwienia, obok zwykłych zajęć, studyów i wypraw malarskich, po pół dnia chłonących. Niekiedy zabruździło i coś nieprzewidzianego, jako to na przykład: ból zębów skutkiem przemoknięcia na Saskiej kępie, i co za tem poszło, posiedzenia u dentysty.

Juścić należało oddać się w opiekę młodemu, aby „stary i brzydki palcami ust nie dotykał.” Pan Ocki zaś odrazu niejednę skazę wynalazł na pięknych perłach, skąd liczba wizyt wzrosła.

Z początku Ada nie wzdragała się dla przyzwoitości prowadzać ze sobą Felicyi, onego „repoussoir'u,” jak się wyrażała; potem wszakże, gdy biedną „poczwarkę” odwołano do umierającego ojca, gdzieś w prowincyonalnem mieście, była zmuszona chodzić sama.

Pan Ocki nadskakiwał, panna Smieńska usiłowała utrzymać się w sztywności dobrego tonu, zwłaszcza, że doktór dentysta jakoś niżej stał w jej oczach od doktora ortopedysty lub chirurga. Ale wrodzona jej żywość i lekkość myśli poczęła prędko sztuczną powłokę krochmalu usuwać.

Jeden i drugi uśmiech, jedno i drugie słówko żartobliwe, którego niepodobna było sobie odmówić — same drobnostki, nikłe jakoby „nic,” stanowiące tylko urozmaicenie nudnych posiedzeń; takie „nic” błache, że ani przed samą sobą wziąć je za ujmę patrycyuszowskiej godności, albo za winę, ani też komu pozwolić w zarzut je obrócić, a jednak z tych pyłków coś, czyż nie nowa pajęcza sieć, jeśli nie do zahaczenia nóżki motylej, to przynajmniej do otrzepania z motylich skrzydeł nieco barw i połysków świeżości?

W końcu zdarzyło się tak, że Ada przyszedłszy dość późno po południu, o wyznaczonej godzinie, dowiedziała się naraz, iż winna poddać się zapuszczaniu jakiegoś narkotyku w dziąsło, dla załagodzenia bólu, który niby jej zagrażał.

Zdziwiła się tą niespodzianą propozycyą, lecz w głowie jej wnet zaświtały zaciekawiające przypuszczenia.

— I co? Usnę?... A może doświadczę jakich halucynacyi? — pytała.

Pan Ocki zaręczał, że wcale nie zaśnie, lecz drażnił jej ambicyą posądzeniem o tchórzostwo.

Więc siadła i operacyi się poddawała.

— Doktór opatentowany, głową przecie odpowiada! — rzuciła Ockiemu, gdy z uśmiechem na twarzy uprzedzał ją, że kokaina działając, budzi podejrzliwość. Sama zaś w głębi, miała jeszcze i to przekonanie, że doktór w swoim gabinecie lekarskim nie może przedzierżgnąć się w donżuana.

Gdy wszakże pan Ocki po pierwszych czynnościach oświadczył, że jeszcze nie skończył dzieła i raz drugi płyn zapuszczać musi, panna Smieńska cokolwiek nad tem się zastanowiła.

Lecz dostrzegłszy na ustach jego uśmiech, który tym razem wydał jej się ledwo ukrywanym, a chełpliwym uśmiechem tryumfatora, jeszcze bardziej czuła się dotkniętą w miłości własnej. „Czyż cofnąć się i zostawić tego „dentystę" w przekonaniu, że go się obawia i niezdolna utrzymać go we właściwej roli!"

Napowrót na fotelu siadła.

— Gdybym była wiedziała, że pan nadzwyczajne operacye dziś urządzać będzie, nie byłabym przyszła sama. Ale skoro trzeba, to proszę kończyć prędko, natychmiast! — rzekła ostro i wyniośle.

Po chwili wszakże zdjął ją okropny strach. Poczuła, że Ocki głębiej zatopił igłę i dłużej przytrzymał, i niebawem doznała zupełnej niemocy w członkach, tak iż ruszyć się z miejsca nie była w stanie.

Głowę tylko mając swobodną rozumiała, iż ratować się może przytomnością; niemniej przeto kipiała gniewem, upokorzona w głębi duszy popadnięciem w łaskę lub niełaskę tego obcego człowieka.

Ale na razie trzeba było i gniew pokrywać równie jak porażkę. Nie zdradzała zatem, iż miarkuje że godzina późna, że wizyta nadto się przeciąga, że wreszcie doktór z bezwładności jej korzysta, za długo i za często rękę jej do ust przyciskając.

A jednak owa giętkość czy powierzchowność uczuć i myśli była tak w jej naturze istotną, że gdy niebezpieczeństwo minęło i gdy w pół godziny odzyskawszy nareszcie możność ruchu, odchodziła, śmiech już na dobre migał po jej twarzy. I skoro Ocki — w roli nieobecnego lokaja, który oddawna zniknął, podawszy jej okrycie, dopomniał się o napiwek, z figlarną minką wyjęła rubla i podała.

— Nie, to za wiele. Przyjmę tylko srebrną piąteczkę za amulet — szepnął doktór. Lecz oczywiście i pieniążka nie wziął, poprzestając jedynie na ponownem uściśnieniu ręki.

Ada wsiadłszy do dorożki jechać kazała powoli, chcąc orzeźwić się chłodnem wieczornem powietrzem. Czuła się nieswoją, osłabłą, w szczególnem natężeniu nerwów mimo zwątlenia w muskułach, z dziwnym nastrojem umysłu, który jednak był przytomnym.

— Że też doprawdy, każdy gotów nadskakiwać, niemal się oświadczać, jak zakochany! — myślała. — Ale to głupstwo jakieś było i będzie — dodała po chwili. — Choć wszystko tak jej się dziwnie mięszało w głowie, że nie mogła sobie zdać sprawy, ani czy prawdziwie była pod groźbą niebezpieczeństwa, ani jakie pobudki powodowały Ockim, czego chciał, co zamierzał. I nad wszystkiem niemal, że górowała w niej wesołość, przypomnieniem ostatniej sceny wywołana.

Dopiero nazajutrz, po zupełnem wytrzeźwieniu była zła. Czuła, że postępowała niezbyt właściwie, bez należytej powściągliwości, że poprostu mogła się wydawać osobą za łatwą, za dostępną i zalotną.

— Jeszcze gotów zrównać mnie z kobietami, które mizdrzą się do każdego! przypuścić żem chciała go skokietować!... Ja podbijać dentystę, który mi plombuje zęby, fi! to pospolite i niesmaczne, jak kawałek mydła w ustach!

Jakkolwiek zaś przy szczerem wybadaniu samej siebie, byłaby niezawodnie znalazła na dnie chętkę „przydawania powabu i wdzięku wszechrzeczy" do niemiłych posiedzeń, nie chciała wszelako, aby to tak wyraźnie wychodziło na wierzch i gniewała się istotnie tem, że ktoś choćby sztucznym sposobem, zdołał nad jej wolą zapanować.

Poczęła się rozmyślać co czynić dalej, czy tylko opóźnić dwie ostatnie wizyty u doktora, czy też nie iść wcale, i poskromić niepomierną ochotę przekonania się, jak pan Ocki nadal postępować będzie.

Sprawa ta jeszcze zostawała w zawieszeniu, gdy zjawił się Janusz po nieco dłuższej przerwie.

Było to przed wieczorem, o zachodzie słońca, które w Czerwcu tak długo ze snem zwleka, bałamuci, tak przed odejściem stroi świat w złote i różowe gazy, a szary pył mroku jeno przymierza nieśmiało do świetnej szaty, jakby mówiąc: „Oto muszę narzucić osłonę i odpocząć, ale wnet powrócę. Cieszcie się zatem wy ludzie, używajcie, czuwajcie choćby od zmierzchu do świtu, wiosna piękna, a krótka! uleci!"

Okno stało otworem i płynęło przez nie z za murów sąsiedniego ogrodu powietrze nasiąkłe zapachem jaśminów, ciepłe i słodkie, odurzające. Więc im dwojgu razem wesoło było, swojo i przyjemnie. Śmieli się rozmawiając i soczystemi truskawkami obdzielali, jak oczywiście bardzo sobie blizcy.

— Ale wiesz! że o mało co nie zostałam przed paroma dniami uśpiona — zaczęła nagle Ada.

— Czem? Przez zahypnotyzowanie?

— Nie!... lecz prawda! nie pomyślałam, że i to byłoby ciekawe. Tymczasem bardzo prozaicznie: u dentysty, pod działaniem kokainy, kodeiny, czy morfiny.

I poczęła opowiadać rzecz całą żartobliwie, lekko, bezwiednie nadmieniając różne szczegóły, dla niej wartości akcesoryów obrazowych, które wszakże Janusz podejmował ze znaczeniem i naciskiem, naraz spochmurniały, z nastawionym ostro słuchem.

— Jakto? więc byłaś zupełnie sama, wieczorem, w porze, gdy inni pacyenci już nie przychodzą i nie było nawet pomocnika, nawet lokaja? — wybuchnął, gwałtownie, rzucając na stół książkę, którą obracał w ręku. — Nie! to pojęcie przechodzi, jak wy jesteście czasem ślepe, niedoświadczone, czy lekkomyślne! Gdyby ten człowiek był trochę mniej uczciwym, lub gdyby okoliczności inaczej się złożyły, albo gdyby organizm twój był nieco słabszym, czy narkotyk silniejszym, czy też działanie jego mniej ściśle obliczone, toś mogła być zgubioną, wiecznie zgubioną! A ja byłbym chyba czaszkę mu roztrzaskał! — dokończył, zrywając się z miejsca i po pokoju puszczając żywym krokiem.

Ada rzuciła śmiechem szalonego rozradowania. Z oczu jej tryskały iskry.

— A cóż za patos! — zawołała, też powstając.

Janusz zatrzymał się. Płomień przeszedł mu przez czoło.

Wstrząsnął głową w tył, jak gdyby chcąc zrzucić z siebie uniesienie, i podszedł ku niej.

— Czy ty naprawdę nie pojmujesz, jakie ci groziło niebezpieczeństwo? — zapytał, rękę jej biorąc łagodnie i swemi rozumnemi oczyma patrząc w głąb jej smugowanych źrenic, w tej chwili tak zmiennych jak dno rzeki ze złotem piasku i mchem zielonawym. — Pomyśl! Ty zupełnie sama, w obcem, pustem mieszkaniu, z obcym mężczyzną, no, pomyśl! przecie nie jesteś dzieckiem!

Ona zastanowiła się, zapatrzyła.

Mimo nieznajomości życia ze strony realnej, mimo tego upodobania w przygodach i niebezpieczeństwach, przez co nie chciała widzieć prawdy, mimo wreszcie różnych pojęć w tym rodzaju, że poczytywała się za istotę wyjątkową, po części wyłączoną z ogólnych praw i bezprawi, zrozumiała jednak, że mogło stać się z nią coś na-kształt scen z powieści francuzkich. Przypomniała sobie nawet owo „l'Irréparable" Bourget'a przez Helę opowiadane.

Rysy jej powlekły się cieniem powagi, gniewu, czy przerażenia, oczy przymrużyła.

— Więc widzisz, po co, po co było stawiać się w położeniu kobiety, z którą można się mniej liczyć? Po co było igrać z tak okropną groźbą i poprostu dopuszczać, aby ten zuchwalec śmiał nawet w myśli targnąć się na ciebie i poważył się jakieś doświadczenia czynić, czy tak nizko cię osądzić? Bo ja złamanego szeląga nie dałbym za to, że on dobrze wiedział, co robi i czego chce! — mówił Janusz zrazu z głęboką przykrością, niemal z roztkliwieniem, a w końcu znów oburzeniem tryskając. A rękę jej bezwiednie w dłoniach przytrzymywał.

Ada szkarłatem się oblała. Ambicya jej dotknięta, przy obudzonej z zaślepienia świadomości, zakipiała warem.

— Myślisz zatem, że tak mnie osądził? mnie? to okropne! Błazen! — rzekła aż zdławionym głosem, lubo oczy jej znów pałały jak pochodnie, bo wyobraźnią przeżywała teraz w całej pełni niebezpieczeństwo, jakiego uszła dzięki, być może, trafowi.

I nie miarkując, że ostatecznie przy ścisłem roztrząsaniu sprawy nie była bez winy, nadto ośmielając Ockiego własnem obejściem, poczęła się korzyć, żywo chodząc po pokoju.

— Przecież to już nie w naszych czasach, nie w wieku postępu, równouprawnienia i samodzielności, gdy tyle kobiet pracuje na chleb, utrzymuje rodziny, zdobywa dyplomy, zasiada obok mężczyzn w biurach i kantorach, powinnyśmy być jeszcze zmuszone do wodzenia na pasku ze sobą tych odwiecznych *„dame de compagnie."* To śmieszność, najwyższa niekonsekwencya, ubliżenie!

— Jednak dla niektórych z was, czasem, to i dziś konieczne... Poważna praca i działalność

w rachubę tu nie idzie. Ty zresztą, jesteś... jesteś za żywa, za... piękna, za... ponętna.

— Nie! to wy mimo cywilizacyi, zmiany obyczajów, praw i urządzeń jesteście zawsze przyczajonymi napastnikami! Wy nie widzicie w nas równego wam człowieka, tylko zdobycz, którą złupić jest zaszczytem. Gdyby mi się było co stało, nie byłaby moja wina, tylko wina tych ugruntowanych przekonań, waszych przywilejów, które w was rozbój uprawniają. My powinnyśmy wszędzie módz obracać się same, wszędzie, wszędzie bez różnicy!

Janusz chodził po pokoju, chodził, jakby ważąc co i jak wypowiedzieć z tego, co byłby rzec pragnął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Armenia i Armeńczycy.

Odkąd bezprawia rządu tureckiego i akcya dyplomatyczna głównych mocarstw Europy zwróciły uwagę na tę krainę, tak mało dotąd znaną, i tak lekceważoną przez ogół europejski, coraz częściej spotykamy w pismach zagranicznych artykuły dotyczące dziejów Armenii, jej przejść burzliwych, dalekich wędrówek jej ludu, jego charakteru, obyczajów, zdolności umysłowych i literatury.

Sądzimy, że i dla czytelników „Tygodnika" nie jest to temat obojętny, i że chętnie zapoznają się bliżej z życiem tego ludu, będącego drobną gałązką wielkiego aryjskiego szczepu.

Nad brzegami rzek Kizil Irmak, Arakses, Kur, Eufrat i Tygr, pośród skalistych łańcuchów gór Elkeri, Chaldejskich, Trebizondzkich, Ararat, Nibad i Kaspijskich, mieszka lud *Hajów* (jak mianują siebie Armeńczycy) w pomieszaniu z Persami, Kurdami i Turkomanami.

Kraj to piękny i malowniczy. Podróżnik francuzki Leon Paul, który w roku 1864 zwiedzał Armenię, powiada, że trudno wyobrazić sobie coś piękniejszego, coś bardziej urozmaiconego jak krajobraz armeński.

Odnosi się to zwłaszcza do okolic obleganego obecnie przez Turków Zejtunu. Dzikość, groza, majestat szczytów i wąwozów górskich z łagodnym wdziękiem dolin zielonych, kwiecistych, ocienionych olbrzymiemi dębami, gajami kasztanów, drzew orzechowych i oliwnych, stanowią kontrasty tak żywe, że oko podróżnika ani na chwilę się tam nie nuży, umysł otrzymuje coraz nowe wrażenia z niewyczerpanej skarbnicy przyrody. I w usposobieniu ludu armeńskiego jest coś z tych przeciwieństw, w które obfituje natura jego kraju.

Silny i nieugięty a zarazem łagodny i miękki, odważny kiedy chodzi o obronę, ale nie skłonny do napaści, przytem bardzo intelligentny, i mimo warunków w najwyższym stopniu nieprzyjaznych stojący na dość wysokim szczeblu kultury, jest Armeńczyk jednym z najgodniejszych przedstawicieli rassy aryjskiej.

Armenia rozciąga się na przestrzeni 5,000 mil kwadratowych. Pod względem politycznym dzielı się na trzy części. Ejalety, Erzerum, Van, Kars, część ejaletów Marasz, Siwas, Szerezul i Djarbekir należą do Turcyi. Dawne prowincye Eriwan i Nachiczewan, oraz część Georgii i Szirwanu stanowią własność Rossyi. Prowincya Aderbeidżan zostaje pod panowaniem Persów. W części rossyjskiej najważniejszem miastem jest Erywan w tureckiej Erzerum, Van i Bajazyd.

Mytycznym założycielem państwa armeńskiego, które w ciągu dziejów swych miało i chwile świetności, jest Haik, zwycięzca Nemroda.

Rozumie sią, że o tych czasach, które przed oczyma naszemi mgła stuleci zskrywa, nie możemy mieć żadnych wiadomości autentycznych. Wszystko, co o nich piszą kronikarze armeńscy jest prawdopodobnie legendą, lub wymysłem tych dziejopisów.

Wątpliwości nie ulega dopiero, że w skład podbojów Aleksandra macedońskiego weszła i Armenia, że po upadku tego efemerycznego mocarstwa zapanowała nad nią dynastya Seleucydów. W tym czasie pośród walk z Partami i innymi narodami azyjskiemi miała Armenia chwilę wielkości za rządów Tigranesa Wielkiego, który przyłączył do niej Syryę, Kappadocyę i dawniej oderwaną Armenią Małą. Ale ten okres rozrostu i potęgi niedługo trwał. Położyły mu koniec podboje Rzymian. W III wieku naszej ery zaczęła krzewić się w Armenii nauka chrześciańska, której wyznawcami wiernymi mimo nie dających się opisać prześladowań Mahometan, pozostali Armeńczycy do dzisiaj.

W roku 428 Armenię Wielką zagarnęli Persowie, Mała pozostała prowincyą państwa Wschodniego.

Ku końcowi XI wieku odzyskała jednakże niezależność, pod berłem Rupena, założyciela nowej dynastyi, którego następcy przyłączyli do niej Cylicyę i Kappadocyę. W okresie wojen krzyżowych grała Armenia wielką rolę, a jeden z jej władców Leon II, za staraniem cesarza Henryka VI otrzymał od papieża tytuł i koronę królewską.

Wraz z przygaśnięciem w Europie zapału do wypraw Krzyżowych, wraz z usunięciem się armii europejskich z Azyi, upadło i chwilowe znaczenie Armenii.

Zmuszeni częstokroć do szukania śród obcych sposobów do życia, rozproszyli się Armeńczycy po wszystkich stronach świata. Do nas znaczniejszą falą przypłynęli około roku 1200. Kolonie armeńskie zresztą spotyka się w całej Europie. Znajdują się one i w Amsterdamie i w Wenecyi, i w Rossyi. Z Persyi, dokąd przymusowym sposobem przesiedlił ich szach Abbas, dostali się do Indyj Wschodnich.

W Europie czy w Azyi, we Lwowie czy w Amsterdamie, charakterystyczną cechą tych tułaczych drużyn armeńskich jest dążenie usilne do zdobycia materyalnych podstaw bytu i do oświaty. Wszędzie gdzie osiedlą się wychodźcy z Haistanu, powstają w krótkim czasie drukarnie armeńskie, i zaczynają wychodzić w nowych wydaniach odwieczne księgi, pomniki starej literatury armeńskiej. Najbardziej znaną pod tym względem jest osada Mechitarzystów na wyspie San Lazaro w pobliżu Wenecyi.

O obecnem położeniu rzeczy w Armenii tureckiej wiecie czytelnicy z doniesień pism codziennych. Po szeregu zaburzeń, walk krwawych i morderczych z łupiezkimi Kurdami, i z oddziałami regularnych wojsk tureckich, nastąpiła chwila ciszy. Sułtan oświadcza swą gotowość do reform i do wymiaru sprawiedliwości.

W jednej miejscowości tylko wojna wre dotąd. Tą miejscowością jest Zejtun.

Ta naturalna twierdza górska ma swą przeszłość dziejową, która stawia ją na odrębnem zupełnie stanowisku i losy jej niezależnie od losów całej Armenii rozważać każe.

Kiedy w wieku XV Hetum, ostatni wódz Armeńczyków poległ w wojnie z Mamelukami, żona jego Zarmanuki schroniła się z garstką niedobitków w niedostępne wąwozy Zejtunu i przez wiele lat opierała się skutecznie potędze Mahometan. Doświadczenie wykazało, że miejscowość to niepodobna prawie do zdobycia, a mieszkańcy korzystając z bezpieczeństwa zapewnionego im przez położenie strategiczne, aż do roku 1864 nie uznawali władzy sułtana, pomimo nieustających wypraw, które przeciw nim podejmowano.

W roku 1864 przyciśnięci przez Mahometan, którzy w niezależności Zejtunu widząc zniewagę swojej wiary, ogłosili przeciw śmiałym góralom wojnę świętą, musieli mieszkańcy przyjąć zaproponowane im pośrednictwo Napoleona III. Na mocy zawartych wówczas układów, wprowadzono garnizon turecki do Zejtunu, a władzę nad całym obwodem objął wielkorządca mianowany przez sułtana.

Zejtun ma 34 mile obwodu i składa się z kilku wiosek, położonych w najniedostępniejszej okolicy Cylicyi. Ludność jego stanowią w części górale armeńscy, w części zaś Turkomanowie. Ci ostatni przejęli język i obyczaje armeńskie, religią jedynie różnią się od tuziemców. Szczególne warunki, w których przez wieki żyła i rozwijała się ta ludność, wyrobiły w niej charakter dziki, nieugięty, odwagę, wojowniczość, nie stłumiły jednak wrodzonej dobroci i gościnności. Jeżeli wierzyć mamy wspomnionemu wyżej podróżnikowi francuzkiemu, robią ci wszyscy górale wrażenie ludzi dzielnych i uczciwych.

Szczególną organizacyę państwową posiadał Zejtun. Była to rzeczpospolita, na czele której stała rada czerech książąt t. zw. iszkhanów wybieranych przez lud.

Prezydującym w tej radzie był arcybiskup Zejtunu, głos jego przeważał, gdy zdania w jakiejś kwestyi podzieliły się. Do obowiązków rady należało wybieranie podatków, sądzenie spraw i administracya kraju. W razie wojny książęta i naczelnicy wiosek t. z. kraju stawali na czele zbrojnych szeregów.

Więzienia nie istniały w Zejtunie. Gdy przestępcę jakiegoś rodzaju stawiano przed sądem, sędziowie starali się przemówić do jego sumienia, i skłonić go do naprawienia złego, które popełnił. Jeżeli okazywał się głuchym na ich przemowy, albo jeżeli przestępstwo należało do cięższych, skazywano go na wygnanie z kraju kilkoletnie lub dożywotnie.

F.

Klemens Junosza.

OSTATNIA INSTANCYA.

MONOLOG.

Ja zawsze mówię, że mężczyzna powinien być przedewszystkiem mężczyzną, bo gdyby nie był mężczyzną, to oczywiście... no, byłby prawdopodobnie czem innem, malowaną lalką, panną na wydaniu, albo ja wiem czem zresztą?

Zasada moja jest taka: mina groźna, wąsy do góry, w ustach cygaro, styl lapidarny, energia, stanowczość, decyzya szybka, jednem słowem siła!

Bismark był czcicielem siły, był jej wyznawcą, i do czego doszedł! Europę zadziwił, światu zaimponował, to rozumiem, to jest mężczyzna.

Co do mnie, pochlebiam sobie, że i ja też; nie w Europie, nie w świecie, bo według stawu grobla, ale u siebie, w domu.

Słowo mur, rozkaz błyskawica, gniew piorun, a niechno mnie, czego Boże uchowaj, passya porwie, niechno ja się rozchodzę, to panie dobrodzieju, wióry lecą, wszystko idzie w puch, proch i marynatę.

Naprzykład wychodzę na ganek, krzyczę: „Maciek!” Żeby pod ziemią był, w tej chwili musi wyskoczyć, stanąć wyprostowany, czapkę zdjąć i powiedzieć: słucham pana.

U mnie zawsze tak. Orać to orać, żąć to żąć, młócić to młócić, żeby kamienny deszcz z nieba padał, żeby siarka i smoła z pod ziemi buchała, żeby się piekło trzęsło, musi być jak ja chcę, jak każę i jak mi się podoba. Wojtek do lasu po drzewo — to po drzewo, Marcin do kowala — to do kowala; Franek do miasta — to do miasta bez żadnego gadania. Słuch jest, służba drży, wszystko na jednej nodze, piorunem, w oka mgnieniu.

Znają mnie z tego. Wiadoma rzecz, jaki pan taki kram. Pan energiczny i służba ruchliwa, robota się pali, a wszystko podług mej woli. Głos mój słychać o wiorstę, a jak czasem zaklnę siarczystemi, to nie przesadzam, ale zdaje się ludziom, że grzmot słychać. Inaczej nie rozumiem.

Człowiek bez stanowczości, bez woli, bez siły, poddający się wpływom, to nie człowiek, tak jak kowal bez młota nie kowal, bo czemże u licha kułby żelazo?!

Wczoraj na przykład huknąłem na kucharkę, żeby mi na obiad był rosół, zapowiedziałem raz ale stanowczo. Przychodzi południe dają barszcz. Co u pioruna? Pani tak kazała.

A jeżeli pani to... przepraszam.

Energia i tylko energia stanowi mężczyznę. Od dziecka było to moją dewizą. Nazywali mnie też koledzy niezłomnym Kacperkiem.

Pamiętam, przyjechałem do domu na wakacye ze szkół, z trzeciej klassy. Nie tęgą miałem cenzurę. Matka mówi: ucz się Kacperku — ja powiedziałem: nie i już. Żeby mnie mieli drewnianą piłą piłować, nie i nie.

Dość się nagadali, w końcu, widząc że moje słowo to mur, dali pokój.

Onegdaj mieliśmy jechać do Piszczykowskich na wieczór. Zapowiedziałem Wojtkowi, żeby o siódmej zajechał, pół do ósmej Wojtka nie ma! Ach! jak pójdę do stajni, jak krzyknę: ty łotrze! Chłop mało w ziemię nie wrósł ze strachu. Trzęsie się, panie dobrodzieju, jak liść osinowy i powiada: pani nie kazała.

A jeżeli pani — to przepraszam.

Ostatecznie, bez woli, bez siły, bez energii, nic nie można zrobić na świecie. Nawet taki żydzisko w miasteczku, który niby czasem wygadza w potrzebie, inaczej zachowuje się, gdy go prosić, a inaczej skoro się na niego krzyknie z góry. Niektórzy moi sąsiedzi traktują takich panów delikatnie. Do czego to podobne?! Demoralizacya tylko!... Ja bo odrazu z góry: — Bierzesz jęczmień?! Chcesz owsa?! Łakomisz się na wełnę? Raz, dwa, trzy... Zgoda, kontrakt, pieniądze i wynoś się, uciekaj gdzie pieprz rośnie.

Tym sposobem wyrabia się respekt, szacunek, powaga panie dobrodzieju, ale trzeba koniecznie energii, głosu silnego, miny. To imponuje.

W zeszłym tygodniu naprzykład posyłam po pachciarza. Krótko mówiąc, potrzebowałem trochę grosza, miałem chęć pojechać do Warszawy. Czasem przykrzy się na wsi i ostatecznie człowiek potrzebuje rozrywki. Tem bardziej, jeżeli od pół roku nie widział porządnego kieliszka wina. A tak, szczerze mówiąc, aż mi pachniało. Eh, myślę sobie, wyrwę się trochę na świat, będzie rekreacya, ludzi zobaczę, szkło zobaczę!... Energia wymaga niekiedy pobudzenia, a że nawet elektryczność ze szkła się robi, to wiadomo. Dlaczegoż się nie naelektryzować cokolwiek? Wołam tedy pachciarza, przychodzi, kłania się.

— Co pan każe?

— Pieniędzy — mówię jak zwykle, ostro i z energią.

— Ile?

— Ze dwieście.

On nic.

— Dajesz?

On nic.

— Dajesz łotrze! czy nie?

— Nie mogę.

Passya mnie porwała ostatnia, wyciągam rękę, chcę żyda za brodę, panie dobrodzieju, a ten zbladł jak ściana, drży i powiada:

— Pani nie kazała dać...

— Ah, jeżeli pani, to co innego, przepraszam.

W ogóle teraz świat jest zdegenerowany, to nie ma o czem mówić. Piszą, panie dobrodzieju, w gazetach, które przecież kiedy niekiedy czytuję, że teraz do chorób bardzo powszechnych należy słabość woli.

Co u dyabła za słabość nowomodna?! U mnie bo, apetyt, panie dobrodzieju, zdrów, pragnienie zdrowe, głos zdrów, ruchy zdrowe, to i wola zdrowa jak krzemień, żadnych nowomodnych kuracyj, ani doktorów nie potrzebuje.

Na skutek tego, na podwórzu jestem pan, w folwarku pan, na polu pan, w lesie pan, w domu pan, wszystko się dzieje jak ja każę, chyba jeżeli pani inaczej.

Ano, jeżeli pani, to przepraszam.

Człowiek jest żonaty od lat dwudziestu kilku, żonaty panie dobrodzieju, z Weronisią, i ma się rozumieć wyrobił sobie pewnego rodzaju powagę i znaczenie, zwłaszcza w sprawach domowych.

Weronisia jest zacności dusza, a swego czasu była zachwycająca osóbka. Dobraliśmy się jak w korcu maku, a kochamy się niby dwie turkawki i lepiej jeszcze niż turkawki, bo one na dębie, a my przecież w porządnym, dobrze zagospodarowanym domu.

Żeby panie dobrodzieju świat kto zjeździł, od morza, drugiej takiej pary nie znalazłby z pewnością. Bo to trzeba wiedzieć: ja siła, ona wdzięk (swego czasu oczywiście), ja gmach — ona subtelna; ja energia i ogień — ona łagodność i słodycz. Ja, panie dobrodzieju basem, że niech się organy schowają, Weronisia cieniutko, jak makolągwa, jak czyżyk, jak mysikrólik. Ja krzyknę rzadko ale dobrze, Weronisia cieniutko i ciągle: cip, cip, cip, cip, od rana do nocy, a jak dobrze pójdzie to jeszcze i w nocy.

Ja mam zarząd, Weronisia ma kassę, ja apetyt i pragnienie — ona kluczyki. Od pierwszego dnia, od miodowego miesiąca takeśmy sobie założyli, i tak jest. Nie można burzyć utrwalonego porządku. Ja też nie burzę, czasem krzyknę, ale jeżeli Weronisia inaczej — to przepraszam.

Onegdaj miałem przeprawę z moim niedoszłym zięciem, Baraszkiewiczem Jasiem, o mało do pojedynku nie przyszło. Dobry chłopak bo dobry, ale waryat i często miewa dzikie pretensye, licho wie o co...

Trzeba wiedzieć, że mamy córeczkę, Basię, śliczna dziewczyna, kubek w kubek do mnie podobna, bo to i wzrost i kształt i energia i oczy takie same. Wąsy tylko przyprawić, byłby dragon, setna dziewczyna, a do roboty i do tańca, sam nie wiem do czego większą ma zdatność, Baraszkiewicz, jako sąsiad bywał u nas, no i że się w Basi zadurzył nie ma dziwu; ja sam, żebym był na jego miejscu, zakochałbym się w tej dziewczynie, i to nie po dzisiejszemu, mazgajowato, ale tak jak za moich czasów, co to panie dobrodzieju, młody człowiek jak się zaszalał, to szalał, a jak tańczył, to drzazgi z podłogi leciały! Zadurzył się chłopak i dość. Ja to zauważyłem odrazu, alem nic nie mówił, kocha się, to się kocha. Od tego jest młody człowiek.

Panie dobrodzieju, w zeszłym tygodniu jadę ja konno do miasteczka, Baraszkiewicz spotyka mnie na grobli, także konno. Jedziemy razem.

Gadu gadu, widzę że chłopak zmieszany, niby jakby coś chciał a nie śmie, niby coś tego a nie ten, nareszcie, ni ztąd ni zowąd, cmok mnie w rękaw. Co u licha, myślę sobie.

— A to, powiada, panie dobrodzieju, czuję całą niewłaściwość mego postąpienia, że nieodpowiednie miejsce na gościńcu, ale w domu, u państwa, nie mam tak okazyi... nie śmiem, a to oto w czystem polu, pod niebieskiem sklepieniem, to niby tak jakby w kościele... dobędę co mam pod sercem... krótko mówiąc, pannę Barbarę kocham, i jeżeli mi jej państwo nie dacie, to sam nie wiem co ze sobą zrobię, ale zapewne nic dobrego, gdyż bez niej na żaden sposób nie mogę żyć.

Chłopak był zmieszany, czerwienił się, bladł, słowa mu się nie wiązały, szpicruty o mało nie zgubił.

Juścić jasna rzecz, że Basię kocha, a skoro kocha, dlaczego nie. Niech się żeni.

Poprawiłem się tedy na siodle dla powagi i mówię.

— Owszem, żeń się.

Myślałem, że z konia chłopak spadnie, tak go to uszczęśliwiło... dałem swoje „placet,” swoje

błogosławieństwo, bo u mnie decyzya krótka, tak albo nie, żadnych pośredniości, kunktatorstwa, zwłoczeń, wymijania. Brzydzę się tem. Mężczyzna decyduje odrazu, albo się wcale nie decyduje. U mnie odrazu: myśl, słowo, czyn, jedno po drugiem, jak trzy błyskawice.

Pojechaliśmy do miasteczka ostrym kłusem, i wstąpili do handlu na buteleczkę. Okazya była słuszna, to nie ma gadania.

On chciał stawiać, nie pozwoliłem na to. Zięć to u mnie jak dziecko, a skoro córkę przyrzekłem, to już czy Basia, czy Baraszkiewicz, w mojem sercu mają jednakowe prawa

Rozczuliliśmy się. On mi wyraził dozgonną wdzięczność, przyrzekł przywiązanie, posłuszeństwo, ja znów palnąłem do niego, panie dobrodzieju, mówkę, w której dowiodłem jak na dłoni, że mężczyzna bez energii, bez siły, bez woli, jako kawaler wart jest trzy grosze, a jako żonaty ani złamanego szeląga. Postawiłem mu za przykład siebie samego, moję minę, moje wąsy, mój głos, i przepowiadałem, że jeżeli pójdzie w moje ślady, to zostanie człowiekiem szanownym, zacnym i szczęśliwym. Zabawiliśmy w handlu parę godzin, a przy rozstaniu się dodałem, że dla sentymentu należy się oświadczyć Basi, a dla ceremonii i dla formy Weronisi.

Trudno, taki jest na świecie zwyczaj i tego trzeba się trzymać.

Nazajutrz, po południu, byłem w polu, przy żniwakach. Patrzę od strony mego domu pędzi ktoś wolantem jak waryat, i prosto do mnie.

Kto taki? Baraszkiewicz. Wystrojony, wyfrakowany, jak z pudełka, ale na twarzy czerwony niby pomidor.

Ja chcę się z nim witać, a ten do mnie.

— To tak, to takie słowo, taki z pana ojciec?!

— Co chcesz, człowieku?

— Oddałeś mi pan rękę córki.

— Oddałem, ale dla sentymentu i dla formalności.

— Niech liche weźmie sentymenta i formalności. Córka nie chciała ze mną mówić, a matka oświadczyła, żebym sobie takiemi myślami głowy nie zaprzątał.

— Matka tak powiedziała? — zapytałem.

— Tak, pańska żona, pani Weronika.

— Ha, jeżeli Weronisia, w takim razie co innego... przepraszam!

Baraszkiewicz skoczył jak oparzony.

— Ale któż pan jesteś? Gdzie pańskie słowo — wołał, — gdzie ten mur, ta energia, ta niezłomna wola, to panowanie w domu?

— Czekajże.

— Na co mam czekać? Na to chyba, żeby wypowiedzieć panu moje oburzenie, mój gniew. Za pozwoleniem. Ja tego płazem nie puszczę, ja satysfakcyi żądać będę. Albo się ma słowo, albo się go nie ma, a jeżeli się nie ma to się jest...

— No, no, mój kawalerze.

— To ja przynajmniej kawalerem jestem, nie zależę od nikogo, mam moją wolę własną, a pan czem jesteś, pantoflem, najniższym służką swojej Weronisi.

Żebym był miał przy sobie dubeltówkę, nie czekając, nie zważając na to co będzie, strzeliłbym do Baraszkiewicza z obydwóch luf, jak do zająca, w sztych, ale na szczęście, czy na nieszczęście broni nie miałem, a on wskoczył do wolanta i uciekł.

Znajdę ja go jeszcze, i dam mu poznać moją energię. Popamięta on długo.

Co zaś do owego pantoflarstwa, przepraszam, każda sprawa ma swoję instancyę... moją jest Weronisia, ale cóż ja temu jestem winien, że przyszła na świat trzynastego Stycznia i że takie sobie imię przyniosła!...

Stanisław Jachowicz.

Ani się domyślają ludzie dzisiejsi snujący sobie dowolne teoryjki o życiu i jego obowiązkach, i ci drudzy, którzy gotowi są zawsze do zaprzeczeń apriorystycznych, gdy im się mówi o możliwości bezwzględnej abnegacyi i heroizmu chrześciańskiego — ani się domyślają jedni i drudzy, jak się wydawać mogą takie zaprzeczenia tym wszystkim, którzy o parę dziesiątków lat dłużej od nich żyjąc na świecie, własnemi oczyma oglądali wiele postaci nie dających się zupełnie przystosować do przeciętnego bytu chwili obecnej, a które nawet w powieści współczesnej raziłyby tak zwaną dzisiaj przesadą i nieprawdą życiową.

Wogóle niedobrze jest przeczyć, a najgorzej przeczyć możliwości dobra, z tej jedynie racyi, że go nasza własna pierś nie mieści w sobie tyle, wiele nam dany wzór, albo przykład wzięty z życia przedstawia. Tymczasem pomimo zaciekłego napadania na wszystko co trąci bezwzględną wyżyną duchową — doskonałem poświęceniem siebie na ofiarę publicznemu dobru — zbliżeniem się do ideału chrześciańskiego miłosierdzia, faktem jest, że postacie podobne żyły, istniały, że szły one przez życie całe z jedną wielką myślą w głowie, albo jednem potężnem uczuciem w sercu, i że wolne od poziomych namiętności i pospolitych pokus, zchodziły do grobu czyste — bez cienia— plamy ni skazy.

Niezaprzeczenie jedną z postaci podobnych, znanych wszystkim mieszkańcom naszego miasta przed czterema dziesiątkami lat był Stanisław Jachowicz. Gołębiej prostoty i dziecięcej prawdziwie czystości duszy, człowiek ten, którego my starcem już tylko pamiętamy, był żywem wcieleniem Chrystusowej prawdy. Niebaczny zupełnie na siebie, nie dopominający się o nic dla swoich, posuwający abnegacyą aż do uszczuplenia potrzeb najbliższych sercu, żył i trudził się niezmordowanie tylko dla sierot, dla zapomnianych i wydziedziczonych. Wspaniała to prawdziwie postać w swojej prostocie i apostolskiem zaniedbaniu własnego dobra.

Nie zamierzamy tutaj kreślić biografii Jachowicza, przypominamy tylko czytelnikom naszym o stuletniej w ubiegłym miesiącu rocznicy urodzin tego szlachetnego przyjaciela dzieci, do którego na schyłku jego życia między wielu innemi napisano i te słowa serdecznego uznania.

. . . .

Nam twoich zasług ni wielbić ni sławić,
Ale gdy cię Bóg wpośród nas postawił,
Nam twej poczciwej pracy błogosławić
Jakoś ty dziatwie naszej błogosławił.

Były to nadesłane onego czasu do „Wieńca," pisma zbiorowego, którem wdzięczna społeczność nasza dziękowała ociemniałemu starcowi za jego czterdziestoletnią pracę. Przyjmował on to wszystko po swojemu prawdziwie. Ubogi a nieroszczący sobie praw do wdzięczności żadnej, czuł się wynagrodzonym nad zasługi, a było tam w tej zbiorowej pamiątce wiele bardzo charakterystycznych przemówień. Poczynając od kunsztownych rymowanych popisów, aż do rubasznej na przykład dedykacyi, którą ktoś w prostocie serca uniewinniał się z przesłanego daru jubileuszowego. Mamy tu na myśli kilka słów, któremi poczciwy jeden przemysłowiec warszawski krasił podarunek własnego wyrobu świec i mydeł doręczonych jubilatowi. Oto próbka i tego rodzaju muzy także.

Niechaj ten, który światło siał przez lat czterdzieści,
Zamiast iluminacyi dziś świece odbierze:
A mydło niech przypomni bajeczkę tej treści,
Że nie każda na świecie plama się wypierze.

A śliczna to była, śliczna owa bajeczka o Stasiu! Całe pokolenia dzieci naszych powtarzały ją na pamięć, a wiele to tam było dowcipnych dziecinnych komentarzy, wiele inwencyi i przystosowań, które nie jedną siwą głowę pedagoga w kłopot prawdziwy wprawiały.

Nie zapominajcież matki o tym serdecznym pracowniku naszym, ilekroć zechcecie dziecku waszemu dać przykład skromnej chrześciańskiej pracy. Imię to ze czcią powinno być powtarzane przez pokolenia całe naszych dzieci, bo myślą o ich pożytku rozpoczął ten człowiek życie swoje i w niezmordowanym trudzie dla ich udoskonalenia zeszedł do grobu.

Stowarzyszenia i kassy przezorności.

Były niegdyś tak nieskomplikowane warunki bytu, że dosyć było pamięci o jutrze, aby sobie to jutro zabezpieczyć. Oględność w wydatkowaniu, oszczędzanie grosza i odkładanie go na tak zwaną czarną godzinę, stwarzały niekiedy cuda prawdziwe, i każdą mniej więcej rodzinę chroniły przeciw wypadkom losowym — w każdem położeniu były możebne, skuteczne i wystarczające.

Zmieniło się wiele bardzo na niekorzyść klass niezamożnych w naszych czasach. I dzisiaj wprawdzie jest oszczędność konieczną—konieczniejszą niż dawniej, ale wszechmocną jak dawniej nie jest ona już teraz. Przesilenia ekonomiczne skazujące jedną po drugiej gałąź pracy ludzkiej na nieuchronną zagładę, szydzą sobie z zabiegliwości i przewidywań jednostki, która się w końcu przekonać musi, że ani zapobiedz, ani przewidzieć nie jest w możności. Nadto wypadki losowe, o wiele dzisiaj pospolitsze dla pracownika niż przedtem, trzymają rodzinę jego pod nieustającą groźą utraty bytu, a wobec tej ciągłej niepewności i tej groźby każdochwilowej, przychodzi człowiek do przeświadczenia, iż w takiej walce z przeciwnością siły pojedyńcze niczego dokazać i niczemu zapobiedz nie zdołają.

Ta właśnie konieczność wspólnej obrony — to poczucie potrzeby zbiorowego stawienia czoła niebezpieczeństwu, zrodziła solidarność, i wyszłe z niej usiłowania zawiązywania asocyacyj i stowarzy-

szeń. Jest to po większej części oparte na wzajemności; łączą się ludzie wedle zajęć i profesyj, a tam gdzie dobre zrozumienie rzeczy zastępuje krótkowidztwo i egoizm chlebodawcy, przyjmuje i on w tej kombinacyi udział czynny. Takie uczestnictwo doradza mu dobrze zrozumiany własny interes przedewszystkiem, więc może sobie pozwolić na ten mały zbytek, bez wywołania posądzeń o czułostkowość filantropijną, która przemysłowcowi i aferzyście w jego korporacyi zaszczytu nie przynosi żadnego.

Użyliśmy terminu: „interes dobrze zrozumiany" i nie cofamy go wcale, bo tak jak niewątpliwem jest, iż z małymi ludźmi nic wielkiego przeprowadzić się nie da, tak samo z człowieka żyjącego pod ciągłą groźbą, zniechęconego i — bez jutra, nigdy chętnego i dobrego pracownika mieć nie można.

Tyle co do stosunku między pracodawcą a robotnikiem. Inne zupełnie względy przychodzą na myśl, gdy się weźmie pod uwagę obowiązek pracownika biorącego na swoją odpowiedzialność losy rodziny wtedy, kiedy całą jego dla tej rodziny ewikcyą jest para rąk zdrowych i ewentualna chęć oddania na jej usługi wszystkich sił i zasobów. Jest to zapewne dużo, ale z tego jedynie względu, że to jest wszystko czem taki człowiek rozporządza, w praktyce jednak to wszystko okazuje się bardzo często — niczem zupełnie, jak nas o tem codziennie doświadczenie poucza. Kruchość życia ludzkiego wogóle, wielkie niebezpieczeństwo zagrażające temu życiu w każdej chwili w przemyśle fabrycznym czy górniczym, na lądzie czy na morzu, przytem epidemie i wszelkie wypadki losowe, pozwalają niektórym zapatrywać się na związek małżeński dwojga takich ofiar kapryśnego przeznaczenia, jako na akt całkowitej — niewybaczalnej prawie lekkomyślności.

Jak to jest w istocie, trudno częstokroć osądzić bezstronnie, to wszakże jest pewnikiem niezbitym, że wszystkiego temu losowi na łaskę pozostawiać się nie godzi, i że jakieś przecie względne zabezpieczenie swoim najbliższym winien jest ten, który miał odwagę w podobnych warunkach ufundować rodzinę. Ta odwaga, która z jednej strony świadczy o zdrowiu moralnem i fizycznem danej społeczności, winna mieć z drugiej strony przeciwwagę w roztropnem przeciwdziałaniu, zabezpieczającem rodzinę, względnie przynajmniej, przeciwko niebezpieczeństwom, które jej naczelnikowi zagrażają. I tu dopiero rozpoczyna się rola kobiety jako matki — tu pole dla jej wpływu, gdy ten wpływ okaże się koniecznym, a że jest koniecznym w niezmiernej większości wypadków, poucza nas doświadczenie codzienne, bo już to we wszystkiem co dotyczy pamięci o przyszłość dziecka — obmyślenia dla niego bytu — zabezpieczenia go przeciw ujemnym niespodziankom losu — w tem wszystkiem kobieta o wiele bardzo pozostawia za sobą mężczyznę. A nie wolno jej tego poczytywać za żaden egoizm, za żadną małoduszną pamięć o sobie, bo to tylko instynkt macierzyński szepce jej te wszystkie obawy i niepokoje, bo wreszcie wszystkie podobne trwożne przeczucia podsuwa jej praktyka życia, która nakazuje uznać, że tam gdzie nie ma majątku realnego, ze śmiercią ojca rodziny kończy się dla tej rodziny wszystko. Ta smutna niezbita pewność to początek stowarzyszeń i ubezpieczeń na życie, na wyposażenie, przeciw wypadkom losowym, kalectwu i t. p., których nieskończoną ilość widzimy na zachodzie Europy, a które u nas dotąd bardzo się powoli aklimatyzują. Jeśli idzie o instytucye na wzajemności oparte, to im stowarzyszenie większą liczbę członków obejmuje, nadto im mniejsze niebezpieczeństwo czyli ryzyko zagraża tym jego członkom — tem pomyślność takiej instytucyi jest większa, dla przekonania jednak, że nie ma tak złych warunków zawodu, w których stowarzyszenie się byłoby bezpożytecznem, weźmy profesyą jedną z najniebezpieczniejszych na świecie, i zobaczmy czem się dla jej uczestników stało ubezpieczenie wzajemne od czasu, kiedy się pod jego opiekę schronić postanowili.

Mówimy tu o wzajemnem ubezpieczeniu się przeciw śmierci i kalectwie rybaków francuzkich, odbywających wyprawy dalekie na połów dorszów u brzegów Islandyi i Nowej Ziemi.

Corocznie o tej mniej więcej porze odbywa się na brzegach Normandyi i Bretanii werbunek do tych niebezpiecznych ekspedycyj — corocznie od miesiąca Kwietnia rozpoczyna się trwożne wyczekiwanie matek, żon, siostr i dzieci, wyprawy bowiem na te wody należą do najhazardowniejszych, czego dowodem jest okropna w istocie cyfra ofiar, dochodząca do 15 na 100 każdego lata.

Jestto w każdym razie, wedle statystyki, 4 razy ryzykowniejsze przedsiewzięcie niż połów u brzegów francuzkich i równa się zupełnie przyjęciu udziału w jakiejś kampanii. Tymczasem potrzeba wypędza co wiosna tych nadbrzeżnych mieszkańców 4,600 do Nowej-Ziemi, 4,250 do Islandyi, a oprócz tego na morze północne pomiędzy Szkocyą a Norwegią 2,000 rybaków zgórą.

Nie wszyscy ci ludzie należą do stowarzyszeń, tradycyonalne bowiem lekceważenie życia i bierność obojętna wobec niebezpieczeństwa wytworzyły tu rodzaj ponurego fatalizmu, który się długo wszelkim namowom i przełożeniom opierał. Nakoniec udało się jednemu z najbogatszych armatorów urządzających wyprawy na dorsze do brzegów Islandyi, niejakiemu Gabryelowi Beck, zorganizować stowarzyszenie na wzajemności oparte, które w ciągu paru dziesiątków lat rozwinęło się na tyle przynajmniej, że wdowy i sieroty po zaginionych na połowie marynarzach od doraźnej przynajmniej nędzy zabezpiecza.

Fundusze stowarzyszonych mają dwa źródła. Jedno z nich stanowi opłata 1 franka od każdego zwerbowanego na wyprawę marynarza, którą wnosi armator — drugie składają stowarzyszeni sami przez potrącenie z zarobku wypłacanego po powrocie 1 franka na sto. Że zaś przeciętny zarobek z połowu wynosi 600 franków po powrocie, przeto tego jakiegoś strącenia na kassę stowarzyszenia wynoszącego 6 franków nie uważa się za uciążliwe bynajmniej. Wreszcie oswojono się z tem, a częste aż nadto wypadki śmierci i wypłacane zapomogi przemawiają do przekonania najskuteczniej i przyczyniają uczestników z każdym rokiem.

Zapomogi wypłacane bywają zstępnym i wstępnym członkom rodziny zarówno, w takim stosunku: Wdowa odbiera jednorazowego wsparcia 600 franków, a każde jej dziecko do lat 13 wieku po 100 franków. Dzieci pozostawione bez matki otrzymują po 200 franków. Ojciec czy matka rybaka poległego na wyprawie 600 franków. W ten sposób stowarzyszenie założone w roku 1874 wypłaciło swoim uczestnikom od początku istnienia aż po rok ostatni summę 439,538 franków. Przyjęło udział w dobrodziejstwie 330 wdów — 794 sierot i 338 ojców i matek, którzy żyli z pracy swoich synów.

Nie było to dla żadnego z nich majątkiem z największą pewnością — nie była to nawet renumeracya odpowiednia do wielkości straty materyalnej poniesionej przez śmierć pracownika, ale w każdym razie było to coś, i właśnie na to coś oglądać się powinien każdy pracujący nie ufając ani oszczędnościom własnym, którym brak czasu może stanąć na przeszkodzie, ani sile charakteru, zdolnej oprzeć się pokusom marnotrawstwa, a tego pomiędzy ludźmi żyjącymi w ciągłem niebezpieczeństwie życia wogóle jest bardzo wiele.

O tem, że mniejsze ryzyko życia, i szerszy udział uczestników wytwarza wyższą pomyślność instytucyi, wspomnieliśmy już, a w każdym razie pewnikiem jest, że kobieta niezamożna łącząca los swój z losem człowieka bez majątku, ma prawo i obowiązek żądania od niego zabezpieczenia bytu rodziny przeciw wypadkom losowym, i że nie spełniając tego obowiązku daje dowód lekkomyślności, której trudne warunki bytu dzisiejszego w żaden sposób rozgrzeszyć nie mogą.

K.

Ankieta w sprawie pracy kobiecej

w Austryi.

Niekiedy zupełna nieświadomość istotnego stanu rzeczy przyczynia się niespodzianie do odsłonienia prawdy, a krzycząca obojętność dla cierpień i niedoli ludzkich, właśnie dla tego, że była nadmiernie egoistyczną i krzywdzącą, wywołuje jaknajszersze zainteresowanie ze strony ogółu, i budzi usiłowania zmierzające do położenia końca starym krzywdom i niesprawiedliwościom.

Takiej właśnie agitacyi przyczyną stała się mimowolnie przedłożona Austryackiemu parlamentowi nowella ustawy przemysłowej. Tyle, jak powiadają, zdradzał ten pracowity eleborat ignorancyi co do aktualnego stanu kwestyi, tak mu obcym był cały dział pracy kobiecej, tak dalece nic on nieprojektował, aby zmienić rzeczy na lepsze, iż podbudzona przez to gorliwość obywatelska zdobyła się w drodze prywatnej inicyatywy na odpowiednią po temu ankietę, i tej ankiety dopiero cyfry i wskazówki posłużyć mają parlamentowi, jako materyał do opracowania szkicu reformy w tej sferze stosunków, które się przedstawicielom narodu wielce ujemnymi na tle dzisiejszych wymagań cywilizacyi wydały. Dochodzenie, o którem mówimy, zgromadziło dane dotyczące zarobku kobiety wogóle, ztwierdziło ono pominięcie wszelkich względów hygieny i moralności, którego ofiarą jest kobieta pracująca po warsztatach i fabrykach, a zebrane co do tego cyfry poparte zeznaniami i objaśnieniami zawezwanych do zeznań przemysłowców i fabrykantów, złożyły się na materyał oskarżający bardzo wymowny, który dzisiaj ze szpalt dziennikarskich przedarł się do opinii publicznej i niezwyczajne wywołał tam zainteresowanie, a nawet wzburzenie. Nie można się temu dziwić, bo istotnie odmiennie nieco oddziaływa widok nędzy pojedyńczego człowieka, a inaczej kiedy się dowiadujemy, że ofiarą tej nędzy są dziesiątki a nawet setki tysięcy całe.

Jako przeciętny zarobek kobiety pracującej w Austryi w fabryce lub warsztacie uważać należy 5 reńskich (trzy ruble w przybliżeniu) tygodniowo. Na kilkadziesiąt robotnic parę znajdzie się zaledwie takich, które sobie wyższe nieco wynagrodzenie zdobyły, ale jest też sporo i takich, które tych pięciu reńskich nawet nie pobierają. Panująca w Wiedniu drożyzna w tak rażącej z tym nizkim zarobkiem zostaje dysproporcyi, iż robotnicy fabrycznej w tem mieście inaczej jak za ofiarą dwustronnego wyzysku uważać nie sposób. Kobieta pracująca w fabryce czy warsztacie jako mieszkanie zajmuje zazwyczaj tak zwane w Niemczech Schlafstelle, to jest kącik jakiś w izbie rodziny robotniczej, za co opłacać musi od jednego do dwóch guldenów tygodniowo. Tym sposobem na pożywienie się, ubranie, i inne potrzeby pozostaje na tydzień 3 mniej więcej guldeny. Nie należy się też dziwić, że pożywienie dnia całego składa się z przygotowanej rano mięszaniny nazywanej tutaj kawą—mięszaniny, którą odgrzewa robotnica trzy razy w ciągu dnia, zachowując sobie taki zbytek jakim jest mięso końskie, na jedną tylko Niedzielę. Dodajmy do tego wynalazczość oszczędnego pracodawcy, która stwarza dla pracowników potworne prawdziwie warunki hygieniczne—wystawmy sobie nory ciemne a wilgotne przeznaczone na warsztaty, wentylacyą urządzoną specyalnie dla wprowadzenia w błąd odwiedzających zakład inspektorów fabrycznych i zaniedbanie czystości wołające o pomstę, a będziemy mieli wierny obraz tego wszystkiego czem się najskuteczniej dobić pozwala każdy, głodem codziennym wycieńczony organizm.

Czas przeznaczony na pracę liczy się właściwie od świtu do nocy, bo 11 godzin obowiązujące wielki przemysł w przemyśle drobnym ograniczenia nie stanowi, a należałoby tu wspomnieć i o innych jeszcze krzywdach do jakich podejrzana bardzo moralność werkführerów zaliczoną być musi. Do najbardziej poszukiwanych prac przez kobietę bez ukształcenia, należą: konfekcye strojów damskich i zarobki w szwalniach wszelkiego rodzaju, introligatorstwo i fabrykacya sztucznych kwiatów, a jako zarobki grubsze: pranie i wyrób cegły. Konfekcya damska daje jak wiadomo wielkie zyski, ale z tych zysków dla robotnic nie zostaje się nic prawie. Wszystko tu płatne od sztuki, ale że mięsza się w to jeszcze pośrednik biorący robotę hurtem i powierzający ją od siebie szwaczkom pobierającym zapłatę dzienną, że tych ostatnich natłok ciągle się zwiększa, więc i zapłata zamiast wzrastać obniża się sama przez się z roku na rok. Robotnica biorąca szycie do domu ma, jak twierdzi ta ankieta, 3 do 4 reńskich tygodniowo za 16 godzin pracy, a od tego jeszcze odliczyć wypadnie koszta igieł, nici i światła. Jeśli do tego całego wyzysku dodamy nadto dwa obciążenia, to nędza kobiet zajmujących się w Wiedniu szyciem przedstawi nam się w świetle prawdziwie rozpaczliwem. Pierwsze z nich polega na tem, że olbrzymią konkurencyą szwaczkom robią w tem mieście córki t. z. dobrych domów. Jedne z nich chcąc się nauczyć sztuki krawieckiej i pracując darmo deprecyonują przez to płacę—inne to jest takie, które doszły do jakiejś względnej doskonałości, wydzierają zarobki ubogim, aby zdobyty grosz użyć na zbytki. Na to skarży się bardzo ankieta.

Drugie obciążenie, bodajże dotkliwsze jeszcze stanowi ta okoliczność, że właściwego sezonu pracy w Wiedniu pół roku jest tylko, pozostałe zaś 6 miesięcy stanowią sezon martwy, w których szwaczka taka skazana jest na bezrobocie przymusowe.

Introligatorstwo stanowi jeden z zarobków najlżejszych wprawdzie, ale też i najgorzej płatnych. Wszystko co gwarantuje wynagrodzenie wyższe, dostaje się tutaj mężczyźnie; kobieta przy swoim braku siły fizycznej ma tylko część poślednią, a i tutaj kary stosowane za splamienie artykułu wyrabianego, za złą paginacyę przy oprawie książek, pochłaniają często połowę zarobku.

Kwiaciarki pobierają w początkach tylko życie i mieszkanie; gdy się wydoskonalą otrzymują nadto 7 do 15 reńskich miesięcznie za 12 godzin dnia roboczego. Cegielnie zajmują w Austryi 18 tysięcy kobiet. Tu zarabia się przy ciężkiej bardzo pracy 4 do 5 reńskich tygodniowo w miesiącach letnich, a 2 do 3 w ciągu zimy nb. gdy mrozy pozwalają na szychtowanie gliny.

Jak widzimy z całego streszczenia smutnie się to bardzo przedstawia. To też po wysłuchaniu sprawozdania z ankiety jeden z posłów liberalnych zażądał kategorycznie, albo urzędowego zaprzeczenia, albo niezwłocznego usunięcia stosunków niegodnych państwa cywilizowanego. Łatwiej to jednak zaproponować jakieś zmiany na korzyść, niż je wprowadzić w życie. Nie ma rządu, na któryby się dało złożyć całe olbrzymie dzieło reformy w tej sferze stosunków. Kwestya wyzysku ubogiego przez możnego przez paragrafy najlepszej chociażby ustawy usunąć się nie da; trzeba tu i uczuciu chrześciańskiego miłosierdzia zostawić wolne pole, i opinią ścigającą wyzysk wszelki stworzyć, i klasom pracującym przedstawicielstwo jakiejś w własnej sprawie zapewnić, a o to wszystko w kosmopolitycznym, zżydziałym Wiedniu łatwo nie będzie z pewnością. Zresztą zobaczymy.

K.

TO I OWO.

✻ Wpływy atmosferyczne i ich oddziaływanie na obudzenie zbrodniczych instynktów w człowieku są teraz przedmiotem dochodzenia w Stanach Zjednoczonych. Zajmuje się wykryciem tych praw (jeżeli są istotnie jakie prawa) p. Linney dyrektor służby meteorologicznej w Illinois, i usiłuje udowodnić, że istnieje pewne oddziaływanie atmosfery na stan psychiczny jednostki ludzkiej, a tem samem i na zboczenia umysłowe, których wynikiem bywa zbrodnia.

Streszcza on też wyniki swoich poszukiwań w „American Meteorological Journal" z których główniejsze przytaczamy tutaj. Opierając się na raportach policyi w Chicago za czas od 1888 do 1894 i porównywając liczbę aresztowań w każdym miesiącu i dla każdej kategoryi przestępstw z danemi jakich dostarczyło obserwatoryum meteorologiczne, przychodzi przedewszystkiem pan Linney do pewnika, że wzrost instynktu zbrodniczego w człowieku ma się w stosunku prostym do podniesienia temperatury, a jeśli trudno byłoby udowodnić to biorąc dzień za dniem, to przynajmniej, obserwacya wedle miesięcy i pór roku dostarcza cyfr bardzo wymownych, popierających to przypuszczenie.

Sprzyjającym zbrodniczemu popędowi jest czas kiedy pora deszczowa mija a przychodzi pogoda, a wyraźniejszem jest to jeszcze, gdy wypogodzeniu się atmosfery towarzyszy znaczne podniesienie temperatury.

Stan hydrometryczny zdaje się być tutaj bez wpływu, chociaż jest pewien wzrost zbrodniczości przy stanie powietrza czystym i pewne obniżenie tych przy niebie pochmurnem. Zresztą obniżenie się temperatury w miesiącach zimowych, równie jak pora długotrwałych deszczów letnich wywołują zmniejszenie instynktu zbrodniczego człowieka. To samo widzimy przy wietrze północno-wschodnim.

✻ Olbrzymie drzewo ścięto obecnie w Waszyngtonie i ustawiono w parku otaczającym gmach ministeryum rolnictwa. Jest to drzewo z rodzaju Sequoia i jego to właśnie pień przeniesiony tworzy w tym parku wieżę. Wnętrze podzielone na dwa piętra ze wschodami w środku, wierzchołek pokryty dachem ostro zakończonym, a kilka okien wyrzniętych oświetla pokoje. Wysokość wieży wynosi metrów 15—obwód 24—średnica 7 metrów 80 centm.

Odpowiedzi od redakcyi.

W-na P. W. B. w Tambowie. Żurnali kolorowanych pismo nasze nie daje. Może sz. pani zażądać ich w księgarni Viollette'a w Warszawie, Senatorska, obok kościoła Reformatów. Za wyrazy uznania dziękujemy.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

NOWOŚCI

Alpacca 2½ łok. szer. we wszystkich kolorach.
Lenos w najmodniejszych deseniach.
Grenadiny fantazyjne kolorowe.
Pół-jedwabne fant. wełny w wiel. wyborze.
Wełny angielskie.
Wełny **CZARNE** w niebywałym wyborze.
Lenos, Grenadiny i Etaminy Czarne.
Fulary francuzkie w najmod. deseniach od 1 rs.
Taffetas chine w wielkim wyborze.
Canausy od **40** kop. do **85** kop.
Batysty francuzkie **strojne** (chiné)

w niebywałym wyborze od **40** kop.

44011

POLECA

A. WŁODKOWSKI Czysta 8.

Na żądanie **próby** wysyłają się **odwrotną** pocztą.

GŁÓWNY SKŁAD
St.-Petersburskiego Techno-Chemicznego Laboratoryum
i TOWARZYSTWA „HYGIENA,"

WARSZAWA, ULICA NOWY-ŚWIAT Nr 37.

Ceny znacznie niżej wszelkiej konkurencyi.

WIELKI WYBÓR PERFUM,

Wód Toaletowych, Mydeł i Pudru najlepszych Angielskich i Francuzkich firm.

42833 **Wyroby BROCARD i S-ka w MOSKWIE i firmy Nr 4711 w KOLONII.**

Specyalna sprzedaż perfum, ekstrakt na wagę.

Wiele innych przyborów toaletowych na podarunki i niezbędne do domowego użytku.

Nieporównanej dobroci

MYDŁO TATRZAŃSKIE

w 4-ch pięknych zapachach

FIJOŁEK, RÓŻA, KONWALIA i BUKIET TATRA

specyalność

WARSZAWSKIEGO LABORATORYUM CHEMICZNEGO

Cena kop. 15.

W najwyższym gatunku 25 k. i 45 k.

Dostać można: w mag. W. L. Ch. 1) Miodowa Nr 1. 2) Graniczna Nr 2. 3) Krak.-Przedmieś. Nr 1. 4) Róg Marszałkowskiej i Wspólnej. 382810

EAU VÉGÉTALE (WODA ROŚLINNA).

Najlepsza i najpewniejsza do farbowania włosów na kolory Châtain, Brun i Noir. 42215

Od wielu lat jak środek ten pojawił się w Warszawie i coraz zjednywa sobie liczniejszy zastęp klienteli, **Eau Végétale** zaraz po użyciu zamienia osiwiałe włosy na kolor pierwotny nie brudząc ciała ani bielizny, nie pozostawia po sobie rudawych odcieni, ale nadaje kolor naturalny i trwały. **Eau Végétale** jest jedyny środek najsolidniejszy i najradykalniejszy przeciw siwiznie. Cena kompletu rs. 2.50, bez szczotek i pudełka rs. 1.80, za wysyłkę pocztową 50 k., za granicę 75 k. drożej. Upraszam osoby wypisujące, aby w listach załączały próbki swoich włosów, co da mi możność wysłania najstosowniejszej wody. Skład główny w Magazynie Fryzyerskim od 47 lat istniejącym pod firmą **T. Markowski,** Bielańska Nr 2 **W. Kwiatkowski** sukcessor, i w pierwszorzędnych Magazynach Perfumeryjnych.

Dozwolone przez Urząd Lekarski Nr 2261, na ogólnych zasadach handlu

LANOL usuwa **PIEGI i PLAMY** słoik rs. 1, z przesyłką rs. 1 kop. 50.

CALAMINA przeciw **Łupieżowi** 2 flakony (komplet) rs. 2.

Skład: Warszawa, ***Mokotowska 52 u Klimeckiego*** i ***Bielańska 3 u Życieńskiego*** (dawniej Nowakowska) sklep. 43826

Biuro Nauczycielskie
JADWIGI JAHOŁKOWSKIEJ

3391726

nauczycielki 2-go gimnazyum Szkoła Froeblowska. **W Warszawie, Wspólna 40.**

MAGAZYN
E. LOTH

43326

NOWY-ŚWIAT № 69, obok kościoła Ś-go Krzyża.

Zawiadamiam Szanowną Publiczność, iż magazyn mój, egzystujący lat 50 na Krakowskiem-Przedmieściu Nr 17, przeniesiony został na ulicę ***Nowy-Świat Nr 69,*** obok kościoła Ś-go Krzyża, wprost Kopernika.

Poleca na porę obecną w wielkim wyborze:

Kapelusze *damskie i dziecinne, filcowe i fantazyjne tak własnego wyrobu jakoteż* ***oryginalne paryzkie,*** *z ubraniem i bez tegoż.*

Kwiaty *do mód i ozdoby apartamentów, jakoteż* ***Palmy*** *sztuczne zasuszane.*

Do prania i przerabiania *przyjmują się* ***kapelusze*** *filcowe i letnie.*

Znakomite dzieło D-ra **Ernesta Brücke'go,** Profesora fizyologii Uniwersytetu Wiedeńskiego, p. t.:

Jak ochraniać Życie i zdrowie dzieci?

w tłómaczeniu polskiem przez M. Flauma, opuściło prasę i sprzedaje się we wszystkich księgarniach po Rs. **1,** z przesyłką pocztową Rs. **1** kop. **15.** 38378

Zamówienia z prowincyi za zaliczeniem pocztowem, natychmiast są załatwiane.

Adres: S. LEWENTAL, Wydawca, w Warszawie. Nowy-Świat Nr 41.

413/4 **Wszystkie Książki i Nuty** przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i **prenumeraty** przyjmuje Księgarnia i Skład Nut **Maurycego Orgelbranda** w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. **Katalogi i Prospekty bezpłatnie.** Tamże **Wypożyczalnia** (czytelnia **Książek** polskich i francuzkich

Ważne dla Pań!

Nowo-wynalezione Kuchnie Naftowo-gazowe

„PRIMUS"

bez knota, nie dające odoru, służą do gotowania, do grzania żelazek do prasowania i t. p. Nabywać można w składzie naczyń kuchennych i wyrobów żelaznych 42936

Ed. DUSOGE,
NOWY-ŚWIAT 5, w Warszawie.

Warszawa, Mazowiecka Nr 16,

Największe W KRAJU SKŁADY

FORTEPIANÓW,
PIANIN *I ORGANÓW*

HERMAN GROSSMAN

FILIE:

St-Petersburg *ul. MORSKA 33,*

MOSKWA Kuzniecki Most,

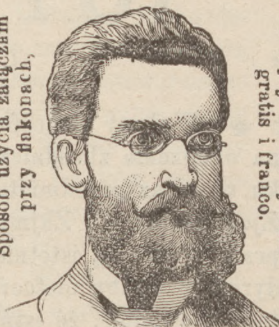
LUBLIN Królewska Nr 207.



SPRZEDAŻ NA RATY po rs. 25 miesięcznie.

Wynajem.

Illustrowane katalogi gratis. 41566



Sposób użycia załączam przy flakonach, i wysyłam na żądanie gratis i franco. 3041112

CAPILLIFER

Niezawodny środek wzmacniający cebulki włosów i niszczący łupież wskutek czego rosną gęste i mocne włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką.

Ceny flakonów stałe: rs. **1** kop. **20, 2** i **3** rs.

Pozwolenie urzędu lekarskiego za Nr 1036. Aby uniknąć naśladownictwa, wyłączna sprzedaż tylko u wynalazcy **T. L. Grabowskiego, Aleja Jerozolimska Nr 76, m. 7.**

Obstalunki od rs. 2 załatwiam za zaliczeniem.



43626

MY WSZYSTKIE

używamy do naszych GRZYWEK I BRWI TYLKO NOWEJ BRYLANTYNY ***„ADONIS."***

Sposób użycia przy flakonie. Świad. Warsz. Rady Lekar. Nr 4268/4415.

Uznanie i poparcie jakie pracą sumienną uzyskać zdołałem, zachęciło mnie do tem gorliwszych starań i szerszej działalności

MAGAZYN MÓJ
Ubiorów Męzkich,

egzystujący przy ulicy Ś-to Krzyzkiej № 19 (obok Poczty),

zaopatrzyłem w świeżo sprowadzony wybór materyałów zagranicznych i krajowych, gustownych i trwałych, a czerpiąc je z pierwszych źródeł, zyskuję znaczne ustępstwa, mogąc tem samem ubierać dobrze i tanio. Wszelkie obstalunki tak z własnych jak i powierzonych materyałów wykonywam starannie, gwarantując dokładne i terminowe wykończenie. W nadziei, że odwołanie się niniejsze zachęci Sz. Publiczność do korzystania z usług fachowca specyalisty, pozostaję z szacunkiem

Edward Sawicki, Krawiec.

ulica Ś-to Krzyska Nr 19 (obok Poczty). 43426

Дозволено Цензурою, Варшава 26 Марта 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.